

Michał Choromański

Biali bracia



Michał Choromański

BIALI BRACIA

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-97-2

Copyright © Michał Choromański

Tekst: Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1990

Projekt okładki: Marcin Labus

I

Zdążył na dworzec dopiero na godzinę 22.15. To go bardzo zaniepokoiło, gdyż kurier do Charkowa odchodził za pół godziny. Na szczęście kolejka przed kasą nie była zbyt długa; obliczył, że jest dwudziesty trzeci.

Jakaś baba z tłumokiem na plecach kręciła się przed nim.

– Dokąd to obywatel jedzie?

Zwrócił ku niej pociągłą, wzgardliwą twarz z przymkniętymi powiekami i nic nie odpowiedział. Takie ponure, trochę aroganckie milczenie mogło zniechęcić każdego, lecz baba, wytarłszy okrągły rosyjski nos z wielkimi dziurkami, poprawiła na plecach kraciasty tobołek i spytała powtórnie:

– Dokąd to obywatel jedzie, może do Moskwy?

Milczał. Nagle zobaczył czekistę kolejowego, który podsłuchiwał oparty o ścianę tuż obok. Wtedy rzekł:

– Jadę, babciu, do Charkowa.

Głos miał kusząco miękki i ładny, zdradzający dobrego, czystego człowieka. Wydawało się to jednak dziwne. Opuszczone w dół kąciki ust i przykre, nieruchome oczy narzucały każdemu myśl o szorstkim i nie miłym głosie.

Nasunął na czoło czapkę i schował brodę w podniesionym kołnierzu czarnego palta. Nie słuchał, jak baba paple o bydłych wagonach i rekwizycjach.

Wreszcie kiedy czekista odszedł, odezwał się krótko:

– Dajcie mi spokój. Trzymajcie się lepiej kolejki.

Tym razem głos miał rzeczywiście przykry.

Zbita z tropu baba spojrzała nań zdziwiona, potem odwróciła się i pokazała mu tyłek. Prawdopodobnie nie zauważył tego; głowę miał pochyloną na pierś.

Tymczasem kolejka posuwała się naprzód. Był obecnie szesnasty. Jego wygląd zdradzał raczej zadumę niż niepokój. Dopiero punktualnie o 22.40 spojrzał na zegarek. W tym samym momencie rozległ się gwizd lokomotywy i kurier złożony z pięciu czy sześciu wagonów z łoskotem i ciężkim sapaniem wjechał na peron. Przez szklane drzwi zauważył przesuwające się oświetlone, zaśnieżone okna wagonów i kolejarzy stojących z czerwonymi latarkami na stopniach. Słychać było czyjeś wymyślania i krzyki. Wojskowy w spiczastym hełmie spuszczonego na twarz wszedł z peronu i wniósł ze sobą śnieżny obłok i powiew zimnego wiatru.

Spojrzał znów na zegarek, minęły trzy minuty. Chociaż był dziesiąty, zrozumiał, że biletu kupić już nie zdąży.

– Kasy nie zamkną, póki wszystkie bilety nie zostaną sprzedane, a miejsc starczy – zauważył bagażowy.

To go zwiodło. Był gotów wziąć swój worek i przekraść się na pociąg bez biletu, musiał bowiem koniecznie odjechać dzisiaj wszystko jedno w jaki sposób. Gdy się zorientował, że bagażowy zakpił z niego, było już za późno: rozległ się trzeci dzwonek i pociąg ruszył. Rzucił się ku wyjściu, chciał dać kontrolerowi parę groszy, żeby ten go przepuścił, lecz nagle zrezygnował i machnął ręką.

Ruchliwy i niespokojny przez parę chwil, miał obecnie znowu ponury i niedostępny wyraz twarzy.

Wszedł do poczekalni pierwszej klasy, z hałasem zamykając drzwi.

W ten sposób Piotr Brajtis nie zdążył wyjechać do Charkowa w oznaczonym terminie (co było dla niego niezmiernie ważne), a konsekwencje tego faktu okazały się niespodziewane, i przykre.

II

Wchodząc do poczekalni natknął się na kupca Graasa. Od razu zauważył znajomą twarz z melancholijnymi, wąskimi oczami i lewym wąsem sterczącym do góry. Odwrócił się z miną niezadowoloną, gdyż miał poważne powody, ażeby unikać tego spotkania, lecz tamten położył mu ciężką, czerwoną dłoń na ramieniu.

– Dobry wieczór panu. Nie wiedziałem, że pan wciąż jeszcze przebywa, w naszym mieście.

Brajtis spojrział złowrogo na czerwoną rękę, usunął się spod jej ciężaru i z zupełnie już opanowaną twarzą rzekł prawie że radośnie:

– A, dobry wieczór. Nigdzie nie wyjeżdżałem.

– Właściwie to nigdy nie wiadomo, kiedy pan jest, a kiedy pana nie ma – z naciskiem powiedział Graas.

– Ale może pan być pewien, że gdziekolwiek jestem, zawsze o panu pamiętam.

W odpowiedzi tej był zapewne jakiś ukryty sens, ponieważ i drugi wąs Graasa opadł nagle. Oznaczało to pewne niezadowolenie czy też konsternację. Tę właściwość zauważył Brajtis jeszcze w zeszłym roku, gdy układał się z nim o kupno zdemolowanej kamienicy.

Było to pewnego jesienno-wieczoru, kiedy Graas dopiero co wrócił do domu po całodziennym uganianiu się po czarnej giełdzie, i czekając na herbatę, grał na flecie.

Okno było otwarte; Graas widział swoje podwórko aż do furtki, kawał ciemnozielonego nieba i czerwone kolory klonów. Furtka była cały czas zamknięta i nikt, nawet pies, nie wszedł przez nią. Kupiec był tego pewien. Zdziwił się przeto, gdy nagle ukazała się w oknie jakaś postać. Był to mężczyzna, który oparty jedną ręką o parapet zapytał:

– Przepraszam pana bardzo, czy pan Graas jest w domu?

Graas odłożył flet, wytarł usta chusteczką i odpowiedział:

– Nie wiem. Zdaje mi się, że go nie ma. A czego pan sobie życzy?

– To wielka szkoda, bo chciałem od niego kupić dom.

Kupiec wziął do ręki flet, obejrzał go i znowu położył na stole.

– W takim razie – powiedział – niech pan obejdzie naokoło i wejdzie do tego pokoju.

A gdy Brajtis wszedł, spojrział na niego przelotnie, bez żadnego zaciekawienia.

– O jakim domu pan wspominał? Jestem Graas.

– Domyśliłem się tego – rzekł tamten z promieniejącym uśmiechem – mówiłem o pańskiej kamienicy na bulwarze Lenina.

– Więc cóż? To bardzo ładna kamienica.

Właśnie w tej chwili drugi wąs Graasa opadł w dół. Chodziło o to, że dom jego został rok temu zniszczony podczas pogromu, później urządzono tam koszary dla denikinowców, jeszcze później zarekwirowali dom bolszewicy, którzy palili w piecach posadzkami i drzwiami. Obecnie dom stoi bez dachu, bez okien, a nawet bez schodów, mieszka tam banda włóczęgów i dzieci.

„Nie wygląda na wariata, myślał Graas, po diabła w takim razie kupuje?” Węszył zasadzkę czy też jakieś sprytne nabieranie, lecz nie wiedział, gdzie się czai niebezpieczeństwo, był więc niezadowolony i niepewny siebie.

– Jeżeli mam być ścisły, to wspomnienia, które pozostały po pańskiej kamienicy, są rzeczywiście bardzo ładne – rzekł Brajtis tonem urzekającym – lecz są to tylko wspomnienia. Zresztą jeżeli panu chodzi o punkt widzenia estetyczny, zgadzam się również, gdyż ruiny pańskiego domu nie są pozbawione malowniczości. W każdym razie dobrze panu za nie zapłać.

Graas przełknął gorącą ślinę i spojrział melancholijnie na flet.

– Właściwie – spytał obojętnie, a nawet ze smutkiem – w jakim celu chce go pan nabyć? – Piotr Brajtis milczał, uśmiechając się. – To znaczy, na co panu mój dom?

– Na co?... Przecie dam panu zań dość pokaźną sumę.

Później kupiec przypomniał sobie, że Brajtis nie dał mu jednak odpowiedzi na jego pytanie. Lecz wtedy tego nie zauważył, zahipnotyzowany czarownym głosem nieznanego. Uczuł doń raptem wyraźną sympatię, którą z trudem pohamował.

– A w jakiej walucie?

– W jakiej pan sobie życzy – powiedział Brajtis uprzejmie i zapalił papierosa.

Wąsy kupca zwisały ponuro i żałośliwie. Nigdy w życiu nie prowadził tak niezrozumiałego interesu. Zastanowił się, ile ma zażądać i w jakiej walucie. Najprościej byłoby w dolarach albo w złocie, lecz jego niezawodny węch handlowy przestrzegł go przed tym.

– Ma pan carskie? – powiedział po namyśle i po raz pierwszy otwarcie spojrzął na swego rozmówcę.

Człowiek siedzący obok był wysokiego wzrostu i bardzo chudy. Włosy miał kędzierzawe, nos garbaty, oczy zielone, a etiopskie grube wargi nadawały twarzy jakiś pogardliwy i znużony wyraz. Zresztą, był to stanowczo bardzo miły człowiek, więc zaufanie kupca wzrastało z każdą chwilą.

– Mogę panu zapłacić carskimi, ale wątpię, czy to się opłaci. To nie są pieniądze pewne.

– To bardzo grzecznie z pańskiej strony, że mnie pan uprzedza – rzekł z niezgrabną wytwornością Graas – ale ja przez całe życie prowadziłem interesy i wiem mniej więcej, co mi się może opłacić.

Po upływie pół godziny dobili targu. Omówili spotkanie nazajutrz przed ratuszem, gdzie Brajtis miał mu wręczyć piętnaście tysięcy carskich rubli.

Na odchodnym Brajtis zwrócił nagle uwagę na flet.

– Zdaje mi się, że przeszkodziłem panu, byłbym rad posłuchać pańskiej muzyki.

Usiadł powtórnie, przysłonił oczy bladymi powiekami i czekał bezceremonialnie. Graas, człowiek na ogół mało ustępliwy, a we współżyciu niemiły, westchnął i zagrał jakąś wschodnią melodię. Przypominał tresowaną świnie, Z melancholijną zadumą spoglądał przez okno, z którego widać było kawałek nieba i krwawe liście klonów.

Nazajutrz zjawił się wczesnym rankiem na giełdzie. Spotkał paru znajomych kupców, lecz żadnemu z nich nie opowiedział o wczorajszej transakcji. Trzymał się zasady, aby nikomu nie opowiadać o swoich interesach, dopóki nie zostaną ostatecznie załatwione. Zresztą, czując w tym wypadku, że sprawa jest dziwna, obawiał się śmieszności. Toteż uspokoił się zupełnie, gdy zobaczył zbliżającego się Brajtisa. Przeszedł się z nim parę razy po zaludnionym chodniku koło ratusza, potem stanął w bramie i szybko przeliczył pieniądze: wszystko było w porządku. Był w bardzo dobrym usposobieniu, chciał zatrzymać Brajtisa i porozmawiać z nim dłużej. Kto zacz? Znał wszystkich w mieście, ale tej twarzy nigdy nie widział.

– Może pójdziemy zakropić sprawę samogonem? – zaproponował – tu, do tego sklepu z jarzynami?

– A, więc to tu sprzedają samogon? – zaciekawiał się Brajtis – nie wiedziałem o tym. Niestety, drogi panie, nie mam ani chwili czasu.

Pożegnał się zimno, gdyż nie potrzebował już teraz uśmiechać się zwodniczo, i zniknął. Graas widział ze zdumieniem, jak wszedł do ratusza, gdzie mieścił się Komitet Rewolucyjny. To go ostatecznie skonsternowało. „Po co wspominałem o samogonie, jeszcze mnie zadenukuje”. Postanowił na wszelki wypadek wrócić do domu jak najprędzej. Chciał jednak przedtem porozmawiać z jubilerem Pikusem, który wiedział o wszystkim, co się dzieje w mieście. Stał właśnie na rogu.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU
ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI